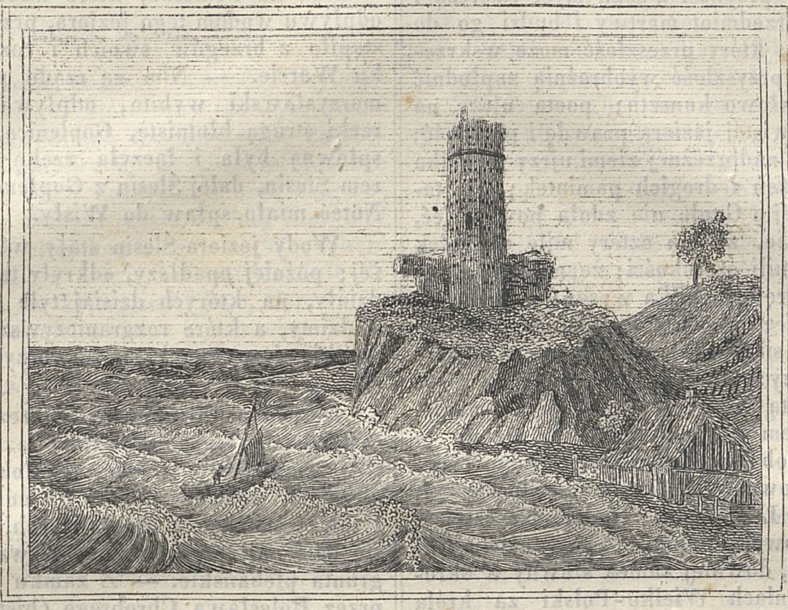
Przyjaciel Ludu.

Rok piąty. **No. 51.** Leszno, dnia 22. Czerwca 1839.



Mysza wieża na Goplе.

Gopło i jego okolice.

(Z podróży malowniczéj po Wielko-Polsce.)

Każda część naszego kraju ma swoje charakterystyczne znamiona, swoją właściwą fizyonomią; w krakowskiém i w sandomirskiém góry, stepy na Ukrainie i Wołyniu, lasy na Litwie, w łęczyckiém błonie, a błota w Pińszczyźnie. Wielko-Polska, jeśli się nie mylę, najbogatsza będzie w jeziora, stawy, kały i wody. Już sama Obra, która się wznosi i opada dwa razy do roku, jak morze dwa razy na dzień, nadaje wiele charakteru i piękności okolicom. Obok téj przyrodzonéj poezyi, nie może zbywać na poezyi ducha; dziwne téż to jest życie obrzańskich mieszkańców! Daléj przypomnijmy sobie historyczne jeziora Zaniemyśla; za wojny krzyżackiéj, wkrótce przed połowieckiem zwycięztwem, usypany wał od wsi Zwoli aż do Głuszyny, z jednéj strony; z drugiéj łańcuch *wód czteromilowy*, zasłaniał Wielko-Polany przed nieprzyjacielem. Podobnyż łańcuch, choć z większemi przedziałami lądu stałego, widzimy koło Osieczny, Witosławia, Ziemnic, gdzie wał z polnych kamieni sypany, na środek jeziora dzisiaj prowadzący, stworzył pomiędzy ludem bajkę *o djablim moście*. Stósy kamieni, rozsypane w przyległym lesie, świadczą, że chciano skończyć to dzieło olbrzymie, ale kapryśne.

A któż z Poznańczyków nie zna *dolskiego* jeziora, gdzie obok historycznych wspomnień, tak cudna okolica, jakich mało u nas. Są tu nawet i *góry*, *raritas* w poznańskiem; a choć nie wielkie i nie liczne, to przecież pięknem zgrupowaniem, naturalnie rozrzuconemi laskami, silniejsze i milsze zrobiły na mnie wrażenie, niż góra *Chełm*, najwyższa w Wielko-Polsce. *)

Stawy znowu przygodzkie na Baryczy, jaraczewskie na Obrze, jezierskie i wiele innych, miały swego czasu sławę niepospolitą z rybitwy.

Nie mam Długosza pod ręką; w nim napotkałbym jeszcze mnóstwo jezior i wód pomniejszych, znanych mi wprawdzie, ale nieprzytomnych pamięci. Święcki niesłusznie je w *opisie starożytnéj Polski* opuścił, same tylko rzeki: Wartę, Prosnę, Obrę, Noteć i Ner wymieniwszy.

*) Chełm w sieradzkiém, prawie na pograniczu Wielko-Polski, niedaleko miasteczka Przedborza; na niéj był zamek i kościół, przez sławnego Piotra Duńczyka, Grabi na Skrzynnie, zbudowany, za Władysława II. Ten sam Duńczyk wymurował, pono za pokutę, 77 kościołów w Polsce; między innemi kościół Śgo Krzyża w Wrocławiu, jeden z najpiękniejszych.

Zostawiając sobie do wolniejszego czasu opisanie wszystkich wód w Wielko-Polsce, wspomnę nateraz jedynie o *okolicach* najsławniejszego ze wszystkich *Gopła*. Samo bowiem Gopło nie cierpi żadnéj *topografii*, widzieć je trzeba, a nie opisywać; więcéj ono ogromem swoim, niżli pięknością położenia zachwyca!

Poeta, który przynosi z sobą myśl twórczą i wrzuca ją w przedmiot martwy i budzi go do życia wiecznego; który przeszłość może wskrzesić pamięcią, a przyszłość wyobraźnią zapłodnić i wcielić je w słowo kunsztu; poeta ujrzy na każdéj fali posuwistéj jeziora prawdę i piękność; w każdéj stopie nadbrzeżnéj ziemi ujrzy świadka wielkich wydarzeń i drogich pamiątek; ale topograf nic więcéj o Gople nie zdoła powiedzieć, tylko, że wielkie, że ma cztery mile długości, a przeszło pół mili szerokości; że ma wiele zatok i wiele zakrętów, kilka wysep; z tych najobszerniejsza *Sięganów* i *Potrzymiechy*, bogata w łąki i piękne siano; kilka półwysep, a między niemi największy: *Ostrowek*, na nim wieś tegoż imienia; z resztą brzegi płaskie, równe, nagie, ogołocone całkiem z drzew i lasów, ale za to gęstemi wśiami obsiane; po jednéj stronie leży: Łuszczew, Borowna, Rzeszynek, Słościeszki, Giżewo, Mnich, Łagiewniki; daléj: Kruszwica, Gezanów, Tarnowek, Popowo; przy ujściu Noteci wieś Szarlej, dawniéj zamek sławny w okropnych zamieszaniach Wielko-Polski za króla *Ludwika* *); poniżéj: Połajew, Mietlica, Wywożna, *Warzymów*, na prost Kruszwicy z drugiego końca Gopła; tu szczątki zamku, który miał pono wieżą podobną myszéj.

Z resztą nic, prócz wody mokréj i płynnéj, jak każda inna, głębokiéj na sążni 16stu, i chyba w tem osobliwéj, że kolor swój zmienia raz po raz, zwłaszcza tam, gdzie strumień Noteci zwolna i poważnie płynie.

Wszakże okolice Gopłu przyległe i wody pokrewne, bardziéj do siebie przyciągają oko widza i więcéj sprzyjają opisom malowniczym.

Zaraz n. p. Noteć w Prusiech, tak jest urocza i tyle pięknych, szczególniéj koło Nakli, podaje widoków, że wylewy wód jéj nazwali niektórzy Nilem polskim, a brzegi polską Szwajcaryą! — Dużo ma podobieństwa z Obrą, a nierównie więcéj korzyści; bo jest spławną, połączona z Wisłą trójmilowym kanałem bydgoskim.

*) Kiedy król Ludwik siedział w Węgrzech, mniéj dbając o losy Polski; Władysław biały, mnich, książe gniewkowski, chciwy panowania i tronu, do którego bliższe miał prawa, niż Ludwik, korzystając z nieobecności króla, opanował Stary Inowłodz, Gniewków, Złotoryą i Szarlej, zamki obronne. Po krwawych i zaciętych walkach, wypędził go z nich Sędziwój z Szubina, wielko-polski jenerał. Podania, jakie się utrzymują o dwóch braciach w Szarleju, zaciętych nieprzyjaciołach, w które się i błota *Lutnie* mieszają, mogłyby podać obfitą treść do pięknéj powieści. Również historyczne wiadomości o wspomnionym Piotrze Duńczyku.

W Polsce zasie tworzą dalszy ciąg Gopła następujące jeziora: Przywłoki, ślesimskie, Mikorzyńskie, pontnowskie, gosławskie, które się przelewa, aż ku Warcie pod Konin.

W odległych wiekach zdaje się, że tylko jedno ślesińskie jezioro istniało i dopiero przez wielką jakąś rewolucyą Gopła, zasiekami czynionemi na Pomorzu, które wzbraniały wolnego odpływu wodom tego jeziora, przyspieszoną, wystąpiło z brzegów swoich i rozlało się doliną ku Warcie. — Nim za rządu pruskiego kanał morzysławski wybito, odpływało ono do téj rzeki strugą błotnistą, Goplenicą, która niegdyś spławną była i łączyła rzekę Wartę z jeziorem Ślesin, daléj Ślesin z Gopłem, a Gopło przez Noteć miało spław do Wisły.

Wody jeziora Ślesin stały wtedy daleko wyżéj; póżniéj opadłszy, odkryły te przerwy, przedziały, na których dzisiaj tyle grobli i mostów widzimy, a które rozgraniczywszy wody Ślesina wązkiemi przesmykami, utworzyły pięć rozmaitych jeziór.

Dowód na owo pierwsze wezbranie Gopła i rozlanie się jego ślesinskiém jeziorem ku Warcie, znajdujemy w różnych dokumentach granicznych, równie jak w gminnych podaniach. I tak jest ślad w Gosławicach, że tam gdzie się dziś najszerzéj woda rozlewa, była wieś i grunta plebańskie. — Z zamku wymurowanego przez Bolesława Chrobrego (historyczne), a po wydarzonéj pogorzeli zamienionego na browar, widać, że dawniéj tylną bramą był wyjazd na drogę, która prosto do Konina prowadziła; dzisiaj podchodzi woda z téj strony pod sam zamek i płócze próg bramy, a z jeziora pokazuje się letnią porą, przy nizkiéj wodzie, figura Śgo Jana, stojąca niezawodnie nadedrogą!

Lud utrzymuje, że jakiś szlachcic Kadzidłowski, dziedzic Gosławic, człowiek według jego wyobrażenia złośliwy, jawno-grzeszny, przewrotny; — okrutnie i nielitościwie obszedł się z miejscowym proboszczem; — za co go P. Bóg potopem ukarał, i deszczem czternasto-dniowym wszystkie jego posiadłości zalał.

Doczytać się wszakże można z kościelnego archiwum w Każimierzu, że ten Kadzidłowski był na swój wiek wielce uczonym i światłym; jasno widział nie jedno złe w kraju, pragnął zmian szczególniéj w religii, przeto też ustawicznie darł koty z księdzem, który go ludowi znienawidził. Do dziś dnia biedak pokutować musi i tłuc się co noc po lesie!

Jawniejszy prawie jeszcze dowód owéj powodzi znajdujem w Mikorzynie. — Wieś tę, założoną dopiero około r. 1416, według miejscowego dokumentu przez Klarę Mikorzyńską, oblewa pierwotne jezioro Ślesin, w postaci wielkiéj rzeki, ujętéj między wysokiemi brzegami, które, jeśli się niekiedy pochylają, to tylko dla utworzenia żyznych niżin i łąk. Cały zabrzeg naprzeciw

Mikorzyna zaludniony jest licznemi i roskosznemi osadami; począwszy od miasta Ślesina ciągną się schlujne wioski, aż do Wąsosz, gdzie widać na wysokim pagórku kościół Śgo Krzyża, cudami słynący.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Józef Maxymilian hrabia Ossoliński.

Niemasz pewnie żadnego pomiędzy czytelnikami pisma naszego, któremuby nie było znane imię Józefa Maxymiliana Ossolińskiego, założyciela biblioteki publicznéj w Lwowie, jednego z najuczeńszych ludzi naszych, a oraz najgłębszego szperacza dziejów i starożytnéj literatury polskiéj. Mało atoli komu znajome są okoliczności jego życia, i drogi, któremi doszedł do świątyni sławy, w któréj imię jego, dopóki języka polskiego stanie, świetne będzie obok imion Załuskich, Jabłonowskich, Konarskich, Czackich, Janockich, Naruszewiczów i innych. Umieszczamy tu przeto krótki rys jego życia, naprzód, aby wznowić należny hołd cnocie i zasługom, dla kraju położonym; powtóre, aby zachęcić młodzież, zwłaszcza tę, którą opatrzność darami swemi hojniéj uposażyła, do naśladowania wielkiego męża i do złożenia cząstki przynajmniéj swego majątku, swych zdolności, na ołtarzu muz krajowych.

Józef Maxymilian Ossoliński urodził się roku 1748 w Woli Mieleckiéj pod Mielcem, dziedzinie spadłéj po Mieleckich na Chodkiewiczów, a od tych przez Ossolińskich nabytéj. Był synem Michała z Tenczyna Ossolińskiego i Anny Szaniawskiéj. Oddany do szkół jezuickich, liczył do nauczycieli swoich sławnego Adama Naruszewicza, a wsparty pamięcią, uwagą i pilnością, robił śpieszne postępy i przebiegł wnet wszystkie klassy. Rodzice przeznaczali go do stanu duchownego, do którego Józef Maxymilian niemiał najmniejszego powołania. „Groźny wychów,“ mawiał sam o sobie, „dawnym obyczajem ojców naszych, karność nieprzebaczająca żadnym wieku zdrożnościom, uczyniły mnie trwożliwym, skromnym i ulegającym każdemu młodzieńcem. Ułożona ku temu powierzchowność, uwiodła starszych, że do stanu duchownego mnie przeznaczono. Ale ci uważając tylko zewnętrzną mą postać, nie badali skłonności serca mego.“ Ta skłonność powiodła go ku Teressie, hrabiance Jabłonowskiéj, z którą w roku 1785. wszedł w związek małżeński.

Osiadłszy odtąd w dobrach swoich, oddawał się ciągle naukom, i w nich, jak mówca rzymski mówił, znajdował zasilenie dla młodości, przyjemne zatrudnienie dla dojrzałego wieku, ozdobę wśród pomyślnych powodzeń, pociechę w przeciwnościach. W rozwadze dziejów przeszłych, przyczyn nieszczęść czasowych badał, a w winach przodków, naukę dla potomków znachodził. Mając zawsze na celu dobro kraju, stósownie do potrzeby, do stanu rzeczy, nie wzdrygał się dlań żadnych ofiar, żadnych usług. Powołany przeto zaufaniem współziomków, chętnie obowiązki deputacyi, wyprawionéj do Wiednia, do cesarza Leopolda II., na siebie przyjął, i przez lat 4, to jest od roku 1789—1793, sprawował. Po skończoném urzędowaniu swojém, to jest od roku 1793, dla zręczniejszéj sposobności usłużenia współziomkom, dla większéj dogodności w uczonych pracach, obrał sobie stałe mieszkanie w Wiedniu. Tu i w tym samym prawie roku powziął zamiar zgromadzenia, urządzenia i poświęcenia publicznemu dobru księgozbioru. Miał on być początkowo składem tylko sławiańskiego i polskiego piśmiennictwa. Ale później nadał mu Ossoliński większą rozciągłość i pomnożył zbiórem ksiąg, rycin, medalów, map, uczonemi płodami innych języków i narodów. Aby zaś i wcześniéj i łacniéj zbiór ten użyciu publiczności przystępnym uczynić, podług udzielonéj sobie myśli i rady xięcia Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich, wszedł w roku 1804 w układ z Ordynatem Stanisławem, hrabią Zamojskim, aby rzeczony księgozbiór w Zamościu przy akademii był umieszczony. Wszakże, dla zmian zaszłych w roku 1809, układ ten zmienił. Przeznaczył więc Lwów, jako stolicę królestwa Galicyi, dla księgozbioru publicznego, ustawy ku urządzeniu i zachowaniu onego, jak najprzezorniéj i najstósowniéj dla dobra publicznego przepisał, dom dla składu wszelkich zbiorów piśmiennych i dzieł sztuki zakupił, utrzymanie dochodem z włości swych, na ten koniec odkazanych, opatrzył, zabezpieczenie na przyszłość jak najtroskliwiéj obwarował, nadzór zarządu baczności stanów krajowych poruczył, i zatwierdzenie od cesarza Franciszka I. 1823 r. otrzymał.

Trzeba było być świadkiem, dla powzięcia wyobrażenia, z jaką troskliwością zgromadzał to wszystko, co zbiór jego pomnożyć i zbogacić mogło; jak nieoszczędzał żadnego trudu, żadnego nakładu, aby odgrzebać, posieść jaką rzadkość bibliograficzną, tym trudniejszą w owym czasie, że i inni lubownicy, tym samym uniesieni zapałem, ubiegali się za starożytnemi dziełami polskiemi. Książka była przedmiotem jego myśli, jego rozmowy, jego starań, jego zabiegów: książka go całego zajmowała.

Tyle uczyniwszy dla dobra zakładu swego, tyle skarbów zebrawszy, niemiał téj pociechy, aby był dożył rozwinięcia się owoców postanowienia swego i aby dopełnione w skutku przedsięwzięcie swe oglądał. Wszystkom uczynił, com mógł, pisał do jednego z przyjaciół, i com rozumiał, że podług prawideł ostrożności i roztropności ludzkiéj uczynić należało. Lecz teraz dopiero o los księgozbioru mojego tchnąć spokojniéj zaczynam, gdy nie tylko przyjęcia osobistéj kuratoryi literackiéj, ale i dziedzicznéj, w majoracie przeworskim trwać porządkiem na-



Józef Maxymilian hrabia Ossoliński.

stępstwa mającéj, z mocy zawartéj umowy r. 1823 od Henryka xięcia Lubomirskiego zapewnienie odbieram. Zaszczycony wyższem oświeceniem i pięknemi przymiotami duszy, wspaniały w ofiarach dla dobra krajowego, ani zdania, ani nadziei mojéj nie zawiódł, gdy nie tylko zatrudnienia zarządem pośrednim tego zakładu naukowego przyjąć nieodmówił, ale nadto zbioru własnego rzadkich i drogich dzieł sztuki, starożytności, medalów, druków i rękopismów wielkiéj wartości przyłączeniem, zakład ten zbogacił, ozdobił i pomnożył. (Koniec nastąpi.)

Autentyczna wiadomość o tragicznym zgonie Cooca i jego ubóstwieniu na wyspach Sandwich.

Dla zrozumienia okropnego losu, jaki spotkał tego wielkiego człowieka, w miejscu, gdzie przez krajowców z uniesieniem i ze czcią, bóstwu tylko wyrządzaną, przyjęty; wiedzieć trzeba tę okoliczność, że podług podania, między mieszkańcami wyspy Owahi upowszechnionego, jeden z ich naczelników, nazwiskiem *Rono Akua*, którego jego ziomkowie pomiędzy bogów policzyli, opuszczając przed wielu laty dobrowolnie wyspy Sandwich, miał się obwieścić: że pewnego dnia pokaże się znowu na pływającéj wyspie.

Od dawnego już czasu wyglądano przybycia tego Rono; corok nawet obchodzono pewną uroczystość na pamiątkę tego przyrzeczenia. Odprawiano przy téj sposobności różne igrzyska, jako to zapaśnictwo, ubieganie się do mety, rzucanie włócznią do celu i inne szermierstwa walki, których zwycięzcy publiczne odbierali nagrody.

Ztąd łatwo sobie wytłómaczyć można nadzwyczajne podziwienie, jakiém ten nieoświecony naród był przejęty, gdy naraz dwa wielkie okręty angielskie ujrzeli. Kapitana Cooka, uważali za powracającego do nich długo oczekiwanego bożka, upadali przed nim na twarz, jako przed wyższą istotą i zbliżali się do niego i do przedmiotów im niepojętych ze drzeniem. Ludzkie postępowanie kapitana i jego ludzi, oddaliło zwolna ich trwogę i zrodziło wzajemne zaufanie, którego owocem była przyjazna zobopólna wymiana towarów.

Ich arcykapłan Kahu wyszedł na jego przyjęcie, przypomniał ludowi dawną wyrocznią i nie wahał się ogłosić Cooka owym długo oczekiwanym bożkiem, który, stósownie do obietnicy danéj, teraz się znowu zjawia. Padli na kolana wszyscy przytomni, wśród głośnych okrzyków radości: nasz potężny Rono! Od tego czasu po wszystkich świątyniach na całéj wyspie składano nowo przybyłemu Rono ofiary. Cook ani się domyślał, co te osobliwe obrzędki znaczyły, nie wiedząc o niczém, ani nie rozumiejąc języka krajowców. Dziwnie mu wprawdzie wydawały się te nadzwyczajne czci boskiéj oznaki, które mu zewsząd aż do znudzenia wyrządzano; aby jednak nie zrazić sobie tak przychylnych krajowców, znosił cierpliwie uprzykrzone i dziwaczne ceremonie, których znaczenia napróżno odgadnąć usiłował. Tak, pomiędzy innemi, zaprowadzono go do świątyni, zwanéj *domem Rono*, i posadzono go pod olbrzymiém i niekształtném bożyszczem, szkaradnéj i potworněj postaci. Tu owinęli mu kapłani prawą rękę wązkim czerwonym paskiem i wezwali oficera z jego orszaku, aby jéj służył za podporę. Poczem zbliżył się do niego arcykapłan, w towarzystwie dwunastu innych kapłanów, zupełnie nagich, wyjąwszy, że mieli pasy koło bioder, porwał sporego wieprzaka, a wymówiwszy nad nim, obrócony ku Rono, uroczystym głosem długą modlitwę, udusił to zwierzę i ugotować kazał.

Zgotowaną z niego potrawę zastawiono przed kapłanem, oraz kilka kokosowych orzechów i łupin, napełnionych pewnym fermentującym napojem, ulubionym od krajowców, który oni kawa nazywają. Lubo arcykapłan sam się fatygował i zastawione potrawy i napoje własną ręką do ust mniemanego bożka zaniósł, Cook odwracał usta, dając im wyraźnie do zrozumienia, że nie będzie jadł; miał bowiem niewypowiedzianą odrazę od téj brzydkiéj strawy, zwłaszcza, że go dawniéj przy podobnéj uro-



Mieszkańcy wysp sandwichskich.

czystości przymuszono do skosztowania już zepsutego świńskiego mięsa.

Najwyższy arcykapłan wszelkiego ze swéj strony dokładał starania, aby przeprzeć opór Wielkiego Rono, przeżuwając sam najlepsze kąski i podając je Cookowi. Tak wielki dowód uprzejmości przemógł nareszcie opór stałego Anglika. Powstał, oderznął kawałek z prosiaka i przełknął, jak mógł.

Przychylność kapłanów i ludu nieograniczała się tylko na wyrządzaniu boskiéj czci. Cała okrętowa osada została udarowana żywnością różnego gatunku, która im była daleko pożądańsza, niż cześć ich kapitanowi wyrządzana. Wyspiarze pospieszali na wyścigi z pełnemi czołnami świń, kokosowych orzechów, owoców, jarzyn i t. d., do okrętów, i mieli się za szczęśliwych, gdy ich dary przyjęte zostały.

Ari Rahi, czyli władzca téj wyspy, wyciągnął był z swymi wojownikami przeciw sąsiedniéj wyspie, gdy Cook wylądował. Uwiadomiony o tém zdarzeniu, pospieszył jak najrychléj z powrotem, aby mu jak najprędzéj złożyć hołd i dary. Monarcha, *Tarii Opu* nazwany, wsiadł koło południa na wielką łódź w towarzystwie dwóch innych, napełnionych żywnością. Trzy te łodzie podpłynęły pod angielskie okręty. Najznakomitsi wojownicy, okryci zbroją i kosztownemi płaszczami, z włóczniami i puginałami w ręku, znajdowali się na statku królewskim, z obydwoma królewiczami i wnukiem, który odtąd pod nazwiskiem *Tameamea* tak się wsławił, iż się stał rozkrzewicielem oświaty na wyspie Owahi.

W innéj łodzi znajdowali się kapłani z swymi bożyszczami, które oni, jak w największe uroczystości, w czerwone przybrali materye. Wzmiankowane bożyszcza były to potwory wyrznięte z wierzbiny, ludzkiéj olbrzymiéj postaci, które zewsząd pstremi piórami ustrojono. Oczy ich były z orzechów kokosowych, perłową macicą obwiedzione. Szczęki były osadzone dwoma rzędami pięknych psich zębów. Widok ich był razem dziki i pocieszny.

Kapłani, pod przewodnictwem sędziwego *Kahu*, śpiewali religijne i narodowe pieśni. Przybijając do okrętów, zaczęli śpiewać hymn na cześć *Rono*, opiewający jego przygody i jego powrót, następującéj treści.

Rono mieszkał dawnemi czasy z swą żoną w Keara, w gronie urwistéj i spadzistéj skały. Pewien mąż wszedł na szczyt téj opoki, mówiąc do jego małżonki: „Pozdrawia cię twój kochanek. Pozwól mu być przy tobie, oddal twego, a będę ci zawsze wierny.“ Rono usłyszał te chytre słowa. Zapalony wściekłością, zabił swoję żonę. W rozpaczy z tego okropnego czynu, zaniósł do mogiły martwe zwłoki małżonki i długo płakał nad niemi. Poczem zapalony wściekłem obłąkaniem, przebiegał Owahi, powołując każdego do walki, kogo tylko napotkał. A zdumiony lud, rzekł: czy Rono oszalał? I Rono odpowiadał: tak jest, oszalał z miłości. Postanowił igrzyska na pamiątkę swéj żony; poczem wsiadłszy na łódź, do odległych wysp się oddalił. Przed odjazdem jednak przepowiedział, iż znowu na pływającéj wyspie powróci.

W czasie tego śpiewu przybiły ich łodzie do angielskich okrętów, i zapraszały kapitana znakami dość zrozumiałemi, aby się na ląd do ich króla udał. Kapitan chętnie się do ich życzenia przychylił; wylądowawszy, kazał na prędce na brzegu morskim rozbić namiot, w którym, otoczony od swych ludzi, oczekiwał królewskiego przybycia.

(Koniec nastąpi.)

Górnica.

(Ciąg dalszy.)

Skoro wstał ten wieśniak dziwnego nabożeństwa i ku wyjściu się miał: podstarości z całą attencyą podał mu kapeluch i laskę białą, i przodem idąc, rozpychał ludu ciżbę, która cisnąc się w kąty, wolny robiła temuż przechód. On zasie chłop, pomimo czynionych mu rewerencyi, jakoby jakiemu senatorowi, nie wzbijał się tém w pychę; owszem, jeśli mam rzecz prawdą, szedł pokorniuteńko, w środku kościoła klęknął, ucałował ziemię, a na cmentarzu sypał tynfami między żebraków, a sypał hojnie.

Wszystkie te dziwne rzeczy nie chciały się w mojéj pomieścić głowie; myślałem, coby to był za chłop? i gadałem tak do siebie: „Pewnie to sołtys bogaty, może wójt; ależ są wójtowie i sołtysi na świecie, a takich nieodbierają honorów. Ciekawości mojéj nie mogłem poskromić, zagadałem więc w téj materyi do jednego z wieśniaków, i odebrałem odpowiedź taką: iż ten chłop, co w pierwszéj siedział ławce, chociaż ubrany w górnicę, przecież nie chłop, ale pan i dziedzic na *Charłupach wielkich i małych, Charłupski* się zowiący... „Czy być może?“ zawołałem.

—„Jużcić być może, kiedy tak jest,“ odparł wieśniak. — „Ależ mój ojcze, trudna to rzecz dla mnie do pojęcia; czyli wam to niewiadomo, przeco dziedzic dwóch wiosek odzienie nosi wieśniacze? toć musi być dziwak jakiś.“

—„Czy dziwak, tegoć waspanowi nie powiem, ale przez dziwne przechodził koleje życia. Nosił się dawniéj po szlachecku, przy szabli zawdy; a kiedy w szatach chodził szlacheckich, złyto był człowiek; dzisiaj mówią o nim, że dobry, a serce, oto na ranę przyłożyć.“

—„Z odmianą odzieży do tyla się zaś odmienił!“ zagadałem. — „Jako żywo,“ odrzekł wieśniak; „Bóg zesłał na niego nieszczęście; po nieszczęściu stał się jakby inny, a dla czego wieśniaczą wdział na siebie siermięgę, o tém długo śpiewać mój panie. A śpiewać darmo, boli gardło, mówią ludzie.“ — „Macie prawdę,“ rzekłem, „ależ wzdy jest karczemka przecie jaka taka przy kościele?“

—„I nie jedna, sześć wiosek należy do parafii, a każda ma swoję karczmę przy kościele.“

—„A w karczmie piwo, nieprawdaż?“ rzekłem.

—„I miodek się znajdzie.“ — „Jeżeli dobry, to się napijemy.“ — „Tym nie gardzić...“ odpowiedział ów. Tak rozmawiając, szliśmy ku gospodzie, a idąc, już wieśniak zaczął swoję powieść, którą króciuteńko, jako pamiętam, tutaj spisuję, dla wiadomości i nauki potomnych:

Charłupski, dziedzic na wielkich i małych Charłupach, po śmierci rodzica, który był podwojewodzim w powiecie, a jak mówią wszyscy, zacny był i dobry pan; kochany od swoich, szanowany od obcych. Owóż po śmierci letniego już podwojewodzego, niedorostek jeszcze synal, ten oto, któregom w kościele widział, na wojence kilka lat młodocianych spędziwszy, objął ojcowską grzędę.

Alić pokazało się zaraz, że się daleko od zacnego swego rodzica odrodził: warchoł, zawadyja, z sąsiadami zaraz wszedł w poswarki nieprzystojne, i w nieuczciwe kłótnie, a na poddanych bicz boży; dręczył, za najmniejsze przewinienie więził, katował, a rozbity w pychę, ubiłby na miejscu chłopa, gdyby go nie był uszanował czapką i tam daléj.

Dziesięć lat już upłynęło od śmierci rodzica; nowy dziedzic postępując w wiek dojrzalszy, stawał się coraz większym zrzędą, a w dumie nadętości niesłychanéj istnym dziwakiem. Cóż się tedy dzieje? Przechodząc lasem, napotkał chłopa, który dźwigając wór ze zbożem na plecach, wracał do chaty z pola. Ponieważ przechodzący, mimo poddany, nie uchylił przed nim czapki, a nie miał jéj jako uchylić, bo w obojéj ręce dzierżał wór wielki, zelżył go ostatniemi słowami, świsnął na gajowych, chłopa związać, i związanego do dworu zapędzić, okuć w dyby, i do lamusa zamknąć kazał. Czwartą niedzielę już jęczał nieborak w wilgotnym lochu. Płacz i lamenta żony i drobnych uwięzionego dziatek, były daremne. Owszem żebrzącą kobiecinę nieludzkim sposobem wychłostał; a biedne, na pół nagie dzieci niebożęta, poszczuł psami. I instancye księdza plebana za niewinnym nic niepomogły. Odpowiedział nalegającemu księdzu Charłupski: „Trzeba tych chamów nauczyć uszanowania dla pana, a zuchwalstwa oduczyć.“ Trwało to uwięzienie, jak wspomniałem, cztery niedziele. Ale cóż się dzieje?

Właśnie pod tę porę pan Charłupski najechał bez prawnego tytułu na las sąsiada, zamożnego pana stolnika; zburzył i rozkopał graniczny kopiec; nie dosyć tego, w lesie stolnikowym nacechował swoją cyfrą kilkadziesiąt sztuk drzewa. Kiedy o tém stolnikowi znać dano; pan ten zamożny, właśnie co obrany deputatem na trybunał lubelski, zatém jaśnie wielmożny, strasznym się uniósł gniewem na zuchwałego szlachetkę, co się poważył najechać go w jego spokojnéj possessyi; a gniewowi swojemu dając się powodować, kazał całéj swojéj zebrać się gromadzie, uzbroić w cepy i kosy; marszałkowi zaś swemu dając dowództwo nadł

dworską służbą i gromadą, dał temuż do działania instrukcyę na piśmie, którą nadworny pisarz na pergaminie wysztychował; miał podpis stolnika, pieczęć herbową, i zawierała rozkaz: *Szlachcica najechać w nocy, porwać go, okuć w dyby, i zawlókłszy na granice lasu, przymusić do usypania kopca na powrót, i nie puścić, aż kopiec usypie. A ponieważ ośmielił się Charłupski wybić swoję cechę na drzewach stolnika, rozkazał stolnik nacechować czoło Charłupskiego cyframi stolnika*; rozkaz ten zakończył się temi słowy: „*Tak chce jaśnie wielmożny stolnik, tak być musi. Sic volo, sic jubeo. Ani święty Boże, jemu nie pomoże.*“

Chociaż przygotowania do téj na szlachcica wyprawy, odbywały się tajemnie; przecież nie bez tego, żeby zagrożony szlachcic niebył miał jakiejś, choć niedokładnéj wiadomości o pana stolnika zamiarach; albowiem zaraz z wieczora do odporu się sposobić zaczął, i co było strzelb we dworze, w oficynach, te wszystkie ponabijać, a pachołkowi każdemu w dobrą pałkę się opatrzyć kazał. Trwoga i niepewność niedozwoliła zamrużyć oka, i czeladź nie kładła się téj nocy na sienniki, ale każdy gdzie usiadł, lub kucznął, tam się téż i zdrzemał, tam spał, tam chrapał. Kiedy oto zaraz z północka straszny się rozległ około domu hałas, tartas, krzyki i wrzawa, i pukło po kilka razy z rusznicy; za jednym wystrzałem pękły szyby w oknie, za drugim zadzwonił dzbanek na stole.

„Gwałtu, ratujcie!“ wołał Charłupski. — „Uciekajcie!“ wołała czeladź, na poły jeszcze w marzeniu senném; rozbiegła się, rozpierzchła i znikła gdzieś w nocy, jak kamień w wodę. Daremnie pan wołał ratunku, nikt go dać nie mógł, bo nikogo nie było. Dopiero strach niewypowiedziany ogarnął opuszczonego; nie wiedząc sobie rady, w takiém niebezpieczeństwie, gdzie i o życie chodziło, biegał po izbach, załamując ręce; to do pięciu ran Pana Jezusa, to do Matki bolesnéj się uciekając, polecając się, vota robiąc i t. d. Już mieszkanie otoczone gromadą, ani myśleć z domu uciec. Już walić zaczęli do sieni, do okienic; ostatnia ucieczka do lamusa; lamus ostatnie schronienie. Bieży tedy, tchu mu nie staje; bieży, pod pachą szkatułka, w ręku jedném klucze, w drugiém na prędce z sąsieka porwane kosztowności, po rodzicach pozostałe; czepiec złotolity nieboszczki matki, bóty safianowe ojca, perełki i pióro czaple, i kapę pochwycił ślubną prababki, z długim ruchem; te wlokąc za sobą, biegł do sieni, do lamusa. Drżały mu ręce; ledwie było czasu otworzyć zamek i zatrzasnąć go za sobą, już wywalone były drzwi do sieni, najezdnicy hurmem i wrzawą wpadli do domu; wrzeszcząc: „Gdzie szlachcic! szukać go!“

Czyli dom Charłupskiego doznał losu zdobytego szturmem miasta? opowiadającemu nie było wiadomo; słyszał jednak o wielkich stratach, jakie poniósł przy téj okazyi pan Charłupski; szczęście jeszcze, że żadnéj niepokazało się straty w ludziach. Rozpierzchło się wszystko, co żyło, wyjąwszy psa *Tyrana*, który jako stróż wierny nieopuścił domu niebezpieczeństwem zagrożonego, ale widząc przemoc nieprzyjaciela i daremny ze swojéj strony odpór, zaszczekawszy kilka razy na gwałt, upatrzył sobie kryjówkę pod wschodami i w niéj schowany, przysłuchiwał się wrzawie i głosom obcych ludzi.

Po kolei wracam się do Charłupskiego; ten zaledwie przypadł do lamusa i żelazne podwoje zatrzasnął za sobą, wycieńczony na siłach, padł na ziemię, jakby bez duszy, i bez przytomności prawie leżał czas długi.

(Koniec nastąpi.)

Do szanownéj redakcyi Przyjaciela Ludu.

W numerze 46. P. L. wyobrażony jest medalik, który, jak właściciel onego sądzi, niezawodnie uwiecznia pamiątkę porwania i uwiezienia Stanisława króla. Tymczasem medalik ten z wspomnioném zdarzeniem żadnéj niema styczności. Król Stanisław, chcąc w roku 1771 poprawić mennicę krajową i zaprowadzić z *czystego* srebra monetę, polecił medalnikowi swojemu, *Holzhäuser*, aby z każdego gatunku kursujących na ów czas monet polskich, wybił mu po jednéj sztuce z czystego srebra, w odpowiadającéj wartości, aby się naocznie o kształcie i wielkości tychże mógł przekonać. Przysposobił więc wspomniony Holzhäuser tym końcem sześć nowych stęplów, które emblematami mennicznemi oznaczył, a mianowicie:

1. Talar konwencyiny, czyli ośmio-złotowy. Na stronie głównéj znajduje się głowa Stanisława, z napisem okólnym: STANISLAUS AUGUSTUS D. G. REX POLONIAE M. D. LITU.

Na stronie odwrotnéj: Waga menniczna, z napisem: DAT IUSTI PRETIUM. U dołu liczba roku 1771.

2. Półtalar, czyli czterozłotówka. Str. gł., jak na talarze; skrócono tylko słowo jedno: POLON.

Str. odwr.: Piec topielny, z napisem: VINCIT FRAUDEM. U dołu 1771.

3. Dwuzłotówka. Str. gł., jak wyżéj, lecz słowa niektóre w napisie skrócone: STANISLAUS AUGUST. D. G. REX POL. M. D. L.

Str. odwr.: Ręka, po kamieniu probierczym pieniądz pociągająca; napis: EXPERTUS CREDIT. U dołu 1771.

4. Złotówka, z tygielkiem topielnym i napisem: PROBATUS MELIOR. Jest to ten sam medalik, co w P. L. wyobrażony i mylnie porwaniu i uwiezieniu króla Stanisława przypisany.



Medal na pamiątkę uwolnienia Stan. Augusta.

5. Półzłotek. Str. gł.: Zamiast głowy i napisu, znajduje się tylko cyfra królewska S. A. R. (Stanislaus Augustus Rex); na stronie odwrotnéj zaś: Jaszczur bajeczny, Salamander, w płomieniach, z napisem: NON TIMET. U dołu 1771.

6. Dobry grosz, ćwierćzłotówka, czyli osmak (półosma grosza). Str. gł.: Cyfra królewska S. A. R., jak wyżéj.

Str. odwr.: Sam napis w czterech wierszach: ET IN PARVIS PURUS. 1771.

Lubo próba dobrze się wydała, zamiar ten jednak niebył uskuteczniony; obawiano się zapewne, aby spekulanci czystéj monety polskiéj z kraju nie wywieźli, mniéj czystą pod podobnym stęplem wprowadzając, jak często się zdarza. Numizmaty te w zupełnym posiadać szeregu, bardzo jest rzadką rzeczą; pojedyńcze tylko trafiają się sztuczki, gdyż mało ich wytłoczono. Rzetelnemi onych rysunkami mogę się sz. redakcyi przysłużyć, gdy tego zażąda. Wracając do okoliczności porwania i uwiezienia króla Stanisława Augusta w dniu 3. listopada 1771., przesyłam sz. redakcyi, z prośbą rychłego zwrotu, medal oryginalny mojego zbioru, na przypadek wspomniony wybity.

Strona główna. Król w ubiorze heroiczno-rzymskim, napastowany przez dwie furye piekielne, stoi ręką Opatrzności wspierany; pioruny z obłoków uderzają w jędze napastujące; za królem w prospekcie miasto Warszawa. U góry napis półkolny: NOLITE TANGERE CHRISTOS MEOS. (Nie dotykajcie mych namazanców); u dołu podpis: HORA X. NOCT. D. III. NOV. MDCCLXXI. Na boku imie medalnika: I. L. OEXLEIN.

Strona odwrotna. Opatrzność prowadzi króla w zamek warszawski; witają go klęczące dwie osoby, Polskę i Litwę wyobrażające. Napis półkolny: OCULI DOMINI SUPER IUSTOS. (Oko pańskie czuwa nad sprawiedliwymi.) U dołu podpis: FIDA POLONIA GAUDET (cieszy się wierna Polska).

Tadeusz Wolański.

Gniezno, dnia 6go Czerwca 1839.

Z końcem roku piątego istnienia Przyjaciela Ludu, uprasza niniejszém wydawca łaskawych Czytelników, aby wcześnie w najbliższych sobie król. pocztamtach, lub księgarniach, przypadającą na następujące półrocze prenumeratę, w kwocie 1 tal. 7½ sgr. (7½ złp.), wcześnie złożyć raczyli, niechcąc doznać przerwy w odbieraniu co tydzień regularnie wychodzących numerów.

Ernest Günther, księgarz i typograf.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)